

WIERZBA NAD URWISKIEM

*Na urwisku, zgarbiona i krzywa
Z pniem rozdartym stoi wierzba siwa*

*Cała naprzód podana, schylona
ponad przepaść wyciąga ramiona*

*i spogląda hen, w dal, ku dolinie,
kiedy rzeki złocisty szlak płynie,*

*każdej wiosny, z gór lecą strumienie,
podmywając wierzbowe korzenie;*

*codzień ziemia z pod nóg jej ucieka,
wierzba żyje i patrzy i czeka.*

*Czasem jeno, kiedy cichą nocą
gwiazd girlandy na niebie migocą,*

*a słowicza pieśń płynie z oddali,
cicha skarga w jej listkach się żali:*

*„Wszystkie, wszystkie rozsiane po świecie,
gdybyż jedno przy sobie mieć dziecię!”*

*Czasem z dolin, gdy wietrzyk przywionie,
wierzba pyta: „Czyś słyszał coś o niej?”*

*Czy o córce najmłodszej masz wieści?”
A wiatr w zeschłych jej listkach szeleści:*

*„Wierzbo stara, zgarbiona i siwa
Twoja córka jest bardzo szczęśliwa.*

*W młodym gaju, co widny nad rzeką,
twemu dziecku, dni słodko się wleką.”*



ZOFJA ROGOSZÓWNA

*Stopki nurza w wód falach błękitnych,
słońce pieści puch baż aksamitnych,*

*a ku niebu tak wznosi koronę,
że wnet ujrzysz, Twe dziecię rodzone."*

Końnym szmerem, listeczki drżą szare:

„Boże usłysz prośbę matki starej,

tyle życia podaruj mi jeszcze,
aż dzieciątko me wzrokiem upieszczę”...

I ramiona wyciąga z daleka,
i w gaj patrzy, i marzy i czeka.

— — — — —
— — — — —
W gaj wpatrzona, stara matka siwa
w córce młodość powtórna przeżywa.

Codzień lecą z słonecznej doliny
jakieś szepty, zwierzenia, nowiny.

„W mych gałązkach gniazdezko ptak wije,
cudny motyl z baż molch, miód pije!

Tak tu ślicznie, nad modrą tą rzeką,
jeno żal mi, żeś Ty tak daleko!

Tak bym chciała, mateńko rodzona,
do Twojego przytulić się łona,

bo mi tęskno, bo żyć mi jest trudno,
niby dobrze, a tak czegoś nudno...

Czy tak zawsze?—mateńko siwiutka?”
— Zawsze... zawsze... córeczko malutka.

A w dniu drugim, leci motyl złoty:
„Król wierzb muszkę dziś przysłał w zaloty.

Spójrz mateńko, jak dumne me czoło,
Złote baze je wieńczą wokoło,

kiedy czasem, pod wiatru pieszczotą
włosy jego z mojami się splotą;

dreszczem dziwnym, gałązki drżą moje...
Tak mi dobrze... tak czegoś się boję...

Czy tak zawsze, mateńko siwiutka?

— Zawsze... zawsze... córeczko malutka".

A wieść trzecią niesie motyl siny,

„Dzisiaj, matuś nasze zaślubiny!

Pobłogosław nas matko jedyna,

bo prócz córki, masz dzisiaj i syna;

Pszczół wyroje nasze głowy wieńczą,

słońce skuwa nas złotą obręczą,

a skowronek w błękicie wydzwania

naszą pierwszą godzinę kochania...

Matuś moja, staruszczo siwa,

Twoja córka dziś bardzo szczęśliwa!

Od urwiska, szept rwie się, czy tkanie:

„Córko moja, najslodsze kochanie".

I motylki w słoneczny gaj niosą

listek siwy, sperlony łez rosą.

— — — — —
— — — — —
O południu, nad przepaść schylona,

stara wierzba wyciąga ramiona

i w dal patrzy, gdzie w słońcu, nad wodą

złote pyłki miłosny tan wiodą,

opadając, na wonne, puszyste,

panny młodej warkocze srebrzyste.

Oto w złotej ukryły ją chmurze,

Cisza wokoło... Jeno hen, w lazurze,

sygnaturka skowronka wydzwania

Cud—godzinę—pierwszego kochania...

— — — — —
— — — — —

*Na urwisku coś łka, coś się zrywa,
łzami szczęścia płacze wierzba siwa.*

*Nisko dołem, płyną rzeczne fale,
niosąc jakieś wspomnienia, czy żale.*

— — — — —
— — — — —
*Lato! lato! dni skwaru, dni suszy,
kora pęka, rozpada się, kruszy,*

*a korzeni oszalałe wargi
w rozpalone wpijają się piargi.*

*Wolny, wolno, dzień za dniem upływa
na urwisku kona wierzba siwa...*

*A w dolinie gaj młody, nadrzeczny
tętni pieśnią miłości odwiecznej.*

*Postroiły się drzewa i kwiaty
w najświetniejsze, najwonnejsze szaty,*

*wpatrzone w głąb swego odbicia,
ślą w zaświaty pochwalny hymn życia.*

*Z pośród drzewin, jak złota kolumna,
strzela postać młodzieńcza i dumna.*

*To król gaju do piersi swej tuli
główkę srebrną kochanki zazuli.*

*W szczęście dzieci, niby w cud najrzadszy
matka patrzy i patrzy i patrzy,—*

*I nie pomnąc, że żar w nią się wwierca
grozą śmierci, dosięgając serca,*

*ku niebiosom westchnie, cicha, blada...
Czy się modli? czy z gwiazdami gada?*

*Czy z bogami zawiera przymierze,
mękę swoją im niosąc w ofierze?*

*Cyt..., mdlejącej szemranie modlitwy
krzyk rozerwał spłoszonej rybitwy.*

— — — — —
— — — — —

*Cisza panna, cisza pełna grozy,
aż świst ostry przeleci przez łozy.*

*Lat tęsknoty udręka straszliwa!
Jakże przetrwa cię staruszka siwa?*

*W bezdeszczowe dni, okrutne skwary,
ogień pali schorzałe konary,*

opadają zeschnięte listki siwe...

Wiosną burze srogie, przeraźliwe

*toczą z hukiem kamieniste zwały.
rwąc i szarpiąc korzenie w kawały.*

*Z pod dalekich stóp, sypią się piargi...
Wierzba żyje i cierpi bez skargi.*

— — — — —
— — — — —

O dni długie tęsknego czekania,
gdy mgła szara, świat cały zasłania,
nie doczekać się promienia słońca!
Czyliż męce nie będzie już końca?

Każda gałąź łzą bólu ocleka,
Wierzba żyje... i patrzy i czeka.

Aż raz świtem... czy sen to? czy mara?
nikną, bledną nodrzeczne opary.

i z rozdrzgniętych, ulotnych woali,
w których zorza gra barwą opali,

hen, za wodą, ponad rąbek siny
olch bezlistnych i brzoza i wikliny,

zróżowiona przedświtem poranku
cudna wierzba, w srebrzystych ros włanku

splotem gibkich gałązek się zrywa,
zda się woła i wabi i śpiewa:

„Matusi moja, serdeczna, rodzona,
taka byłam za Tobą stęskniona,

Tak się rwałam ku Tobie, ku górze,
aż ramionka wyrosły mi duże.

Patrz, matenku, siwiutka, zgrzybiała
to ja jestem, córeczka twa mała!

Czy ty widzisz mnie matko jedyna?

Oto szczęścia wybiła godzina!”

W główkę srebrną, strojną blaskiem słońca
matka patrzy i patrzy bez końca,

i ramiona wyciąga splekane:

— „Córko moja! dziecinko kochane!”

O dni cudne, słodkiego poznania!
Zwiewne blaski, uśmiechy, szemrania,

szept gałązki; co wdzięcznie się zgina,
gdy swej matce śle pokłon wierzbina.

i z żółtkłego się nieba wynurzy
mściwe lice archanioła burzy.

Jak szatanów tabun rozpętany,
w skok nadleca drubowie-orkany.

i skłębionych chmur okryci tarczą
raz po razie piorunami warczą.

Strach niemocy przegiął wszystkie drzewa
wtem, z rozdartych nieb, buchła ulewa.

*Wierzbo! wierzbo! i czemuż o świcie
w skrzeplej piersi jeszcze drgnęło życie?*

*Poco wznosisz zbolałe ramiona,
i jak łachman zdarta, zdiurawiona*

*Wpijasł oczu wyżartych orbity
w gaj nadrzeczny, chmur kirem zakryty?*

*Ach, napróżno twe oczy goręją
niezmożoną, obłądną nadzieją.*

*Nad urwiskiem słonecznej doliny
całun śmierci rozpostarł się siny.—*

*Znikły kwiatów pogodne oczęta,
znikła rzeka, w sierp złoty wygięta,*

*znikły dzieci uśmiechy promienne.—
Muł pozostał... i zwały kamienne*

*a z posągu przezystej miłości
pni strzaskanych bielejące kości.*

— — — — —
— — — — —

*Cicho wierzbo! cicho wierzbo siwa,
cóż, że głuchy jęk pierś Ci rozrywa,*

*cóż, że w szale swej rozpaczy silnej
bijesz głową o twardy mur skalny,*

*że po piargu włóczysz włosów szarfy,
niby struny potargane harfy?*

*Nie nadejdzie śmierć dobra, litosna
Cicho wierzbo... będzie znowu wiosna.*

*Będą znowu zachody i świty,
znów się pieśnią rozzwonią błękity,*

*a choć groza tak pierś twoją stłoczy,
że prócz bólu, nic nie dojrzą oczy,*

*ty żyć będziesz—i konać na nowo,
aż nieznane dopełni się—słowo.*

*Bo się wszystko na ziemi przemienia
oprócz męki niezmiennej—cierpienia.*

ZOFJA ROGOSZÓWNA

ZOFJA ROGOSZÓWNA

UR. 1882 † 1921 R.

Promienna dusza — przeciwna dola.

Z wyjątkiem dzieciństwa, którego wspomnienie „sielskie — anielskie” znalazło odbicie w pierwszym utworze literackim p. t. „Dziecinny Dwór”, życie Rogoszówny było smutne. Los nie oszczędził Jej najcięższych doświadczeń życiowych: utraty osób najdroższych i utraty zdrowia. W okresie młodzieńczym traci ojca i wkrótce potem tragiczną śmiercią — 19-nastoletniego, ukochanego i jedyne go brata; w dwudziestej pierwszej wiosnie życia zapada na nieuleczalną chorobę płuc, — która stopniowo przeżera silny i odporny organizm.

Odtąd serce, które żyło przywiązaniem i miłością do rodziny i przyjaciół, skazane jest na ciągłe rozstania i męki samotności w wędrówkach po miejscowościach klimatycznych w kraju i zagranicą, — a żywy temperament i wola twórczego czynu — na przymusową bezczynność i wegetację w cieplarnianej atmosferze sanatorjów, poza nawiasem pełnego, bujnego i owocnego życia. Ta potworna walka z nieuleczalną chorobą, która chwilami przycicha, by znów wybuchnąć gwałtownem pogorszeniem, — te ciągłe tragiczne nawroty od nadziei do bez-

nadziejności, — przy ograniczonych środkach materialnych, zdobywanych z nie ludzkim trudem i cudowną wytrwałością przez ukochaną matkę — dla ratowania najdroższego dziecka, — wystarczyłyby, aby zniszczyć pogodę i wyższy polot ducha każdej przeciętnej duszy ludzkiej, sprowadzając bytowanie jej do codziennych trosk ochraniań i utrzymania zdrowia, — lub do chorobliwej, z dnia na dzień obliczonej żądzy użycia...

Ale w duszy Rogoszówny tak bogaty był siew zdrowego, przedniego ziarna, że chwasty rozrosnąć się w niej nie mogły; biło w tej duszy tak czyste i kryształowe źródło miłości ludzi, tak bogate i niespożyte uczucie, że ani sobkostwo, ani gorycz nigdy dostępu do niej nie miały.

Urodzona w Nowem Siole koło Stryja, miała 8 lat, gdy przeprowadzili się rodzice na wieś koło Krakowa (Zborówek); w 12-stym roku jej życia przenieśli się na stałe do Krakowa.

Jako studentka „Kursów Wyższych dla Kobiet im. Baranieckiego” poznała szereg dziewcząt z Królestwa i Litwy, które w początkach 1900 r. tłumnie zjeżdżały do Krakowa, szukając wiedzy i swobodniejszego wyrazu uczuć i myśli narodowo-społecznych po rusyfikacyjnej — i niezdrowej atmosferze szkoły średniej w zaborze rosyjskim.

Czułej i głębokiej wrażliwości Rogoszówny nie wystarczała samolubna i pusta rola panny na wydaniu, — i bywanie w mieszczańsko-szlacheckich

domach krakowskich, przesiąkniętych dulszczyzną najrozmaitszego gatunku szybko ją zmużyło. Szukała instynktownie szerszych horyzontów, żywych serc i mocnych intelektów. I szybko wyczuła wśród koleżanek z rosyjskiego zaboru duchy pokrewne sobie, — zbliżyła się do nich — i przyjęta jako „swoją człowieka” weszła w bliski kontakt z wyborem młodzieży z Królestwa i Litwy.

Były to czasy wykładów i wpływu Wincentego Lutosławskiego z jednej strony, — konspiracyjne rozwijania „Zetu” pod tajnym kierownictwem Zygmunta Balickiego z drugiej strony.

Żywa, nerwowa, ruchliwa i wnikliwa indywidualność Rogoszówny wchłaniała wszystkie wpływy, przejmowała się wszystkim bezpośrednio i gorąco, ale nie angażowała się nigdzie czynnie i wyłącznie. Zajmowali ją zarówno przedstawiciele socjalistycznego stowarzyszenia młodzieży akademickiej „Ruchu”, jak i narodo-demokratycznej „Młodości”. Nie miała w sobie żyłki polityczno-agitatorskiej i pociągały ją zawsze nie tyle teorie, ile ludzie, ich dusze i przeżycia. I w tem zaznaczył się już jej typ. Była przede wszystkim i zawsze czułą i delikatną kobietą, o duszy wrażliwej na każdy objaw piękna, dobra i prawdy, — miała czyste i gorące serce — i bezpośredni, nieomylny instynkt moralny.

W domu rodzinnym, gdzie obok niej kwitły niezwykłą urodą, wdziękiem i młodością trzy siostry, gromadziła się młodzież krakowska. Byli to artyści, rozwichrzeni dekadenci, poszukiwacze nowych dróg w sztuce i w życiu. I tym wpływom, częstokroć zawrotnym i niezdrowym Rogoszówna przeciwstawiała nieświadomie wrodzoną pogodę umysłu, prostotę i prawość zdrowego instynktu. Współczująca i miękka, a mocna zarazem poczuciem odrębności swego „ja”, — ocierała się o rozmaite kierunki, nie ulegając im bezwolnie. Szukała własnej drogi wśród tych wszystkich ścieżek, które krzyżowały się wokoło niej.

I z pośród mnóstwa ludzi, poznanych naówczas, zbliżyła się do tych, którzy psychicznie odpowiadali jej najgłębiej. Z tego okresu datują się najtrwalsze jej stosunki osobiste, te które rozrosły się z czasem w przyjaźń i przywiązanie dożgonne.

Niestety, już w tym okresie budzenia się rozkwitu przychodzi pierwszy objaw gwałtownego chudnięcia, pierwszy objaw niestwierdzonej dotąd choroby płucnej.



Nie podejrzewając nic groźnego 21-letnia naówczas, pełna sił dziewczyna wyjeżdża z przyjaciółką na wakacje w Suwalszczyznę, w odwiedzinach do koleżanki z kursów Baranieckiego. Tu występuje długotrwały, zatrważający kaszel. Zaprowadzona w Warszawie przez przyjaciółkę do doktora Łaguckiego, — dowiaduje się o poważnem zagrożeniu płuc. Po powrocie do domu zostaje wysłana przez matkę do Gries i tu rozpoczyna się fatalne ogniwo życia sanatoryjnego, — złudne, chwilowe polepszenia, które są tylko podleczeniem, a nigdy wyleczeniem zupełnem.

Po spędzeniu jesieni 1903 i zimy 1904 r. w Gries wraca mocniejsza do kraju i z polecenia lekarzy dla utrwalenia zdobytego zdrowia spędza zimę 1905 r. w Zakopanem. Już na jesieni tegoż roku pozornie wyleczona przybywa do Warszawy w celu oddania się pracy pedagogicznej w szkolnictwie prywatnem. Pracuje w niedawno założonej, a wzorowej szkole 7-mio klasowej Jadwigi Kowalczykówny, jako wychowawczyni najmłodszych dzieci, — wstępniaczek.

Pełna werwy, uroku, oddania, — wesoła, tańcząca, śpiewająca i goniąca się z dziatwą, — zyskuje jej serca odrazu. I tu po raz pierwszy wykreśla się jasno jej droga: Kocha dzieci, rozumie i chwyta najdrobniejsze drgnienia ich dusz — im odda życie. Równocześnie stwierdza dotkliwy brak odpowiednich książek dla wieku dziecięcego.

Jest córką powieściopisarza, budzi się w niej dziedziczny talent—i szkicuje pierwsze rozdziały. „Dzieciniego Dworu”, — czyli wyczarowuje z przeszłości życie własnego dzieciństwa. Nie ma jeszcze formy, nie ma żadnego wzoru,—czuje tylko, że chce odtworzyć życie samo, tchnąć prawdę obserwacji i uczucia w ten przez się prześniony świat własnego dzieciństwa, gdzie sen i jawa nie mają określonej granicy. Świat dziecięcy woła ją do siebie,—jak woła istotne powołanie.

Ona, która wypowiada się z trudem w rozmowie, dla której teoretyczne ujęcie zagadnień życia wymaga męczącego wysiłku, tak, że sama niejednokrotnie zaznacza, że zrozumieć ją mogą tylko wybitnie wyrobione umysły,—stwierdza teraz, że myślenie obrazami idzie jej gładko, — że umie opowiadać barwnie i łatwo i że znajduje w pisaniu przyjemność tak wielką, że trudno jej oderwać się od pióra. Chcąc bawić innych, bawi się sama, przerywa każdą sytuację i stąd ten bezpośredni, łatwy, nierobiony humor, który stanowić będzie znamiennej i może najcenniejszą cechę jej talentu.

2)

ZOFJA ROGOSZÓWNA

UR. 1882 † 1921 R.

Równocześnie z „Dziecinnym Dworem” szkicuje „tiutkę” t. j. Jędrusia i współżyje najtkliwszą i najserdeczniejszą przyjaźnią z dawną koleżanką z kursów Baranieckiego, u której rodziców zamieszkała. Jednak wątły organizm zostaje ponownie szarpnięty nadmiarem przeżyć; na wiosnę 1906 r. Rogoszówna dostaje nagłego krwotoku płucnego i po kilkodniowej rekonwalescencji opuszcza Warszawę, do której przywiązała się najrozmaitszemi i najgłębszemi przeżyciami młodości, rozkwitającej do pracy i szczęścia duszy.

I teraz rozpoczyna się długoletnia męka tej pełnej pragnień i zbudzonej już do pełnego życia kobiety, która znalazła już drogę własną, poczuła smak pięknego i twórczego życia, a zarazem uświadomiła sobie tragedję własnej, fizycznej niemocy.

Spędziwszy lato w Rabce, wyjeżdża w jesieni 1906 r. do Zakopanego, gdzie przebywa 2 lata. Po gwałtownej rozpaczce z powodu utraty zdrowia i praw do życia normalnie zdrowej kobiety, po ciężkiej walce z budzącym się w niej instynktem macierzyńskim, który stanowił istotę jej kobiecości,—po twardem zmaganiu się z sobą, — ta wątła, a duchowo niepospolicie mocna dziewczyna dochodzi do pogodnej, jasnej rezygnacji.

Ten pierwszy okres głębokiego cierpienia, który przeorał dziecięcą dotąd głebę jej duszy, znalazł wyraz w nie-drukowanym dotąd nigdzie wierszu o wysokiej artystycznej wartości, który jako taki znaleźć winien miejsce w zbiorach pierwszorzędných utworów poezji kobiecej:

Miłość dłonie swe kładzie promienne
na kwitnących drzew szaty wiosenne,
pocałunków upojny szept płynie
i gdzieś w rosie perlącej się ginie
— i gdzieś w rosie perlącej się ginie.

W białem świetle miesięcznej poświaty
rozemdleniem rozkosznem tchną kwiaty,
gdzieś z oddali srebrzysty śmiech leci,
to w sadzawce pluskają się dzieci,
— to w sadzawce pluskają się dzieci.

Pod pachnącą jabłoni koroną
czyjeś usta drżą skargą tłumioną,
załamują rozpacznie się ręce
czyjejs duszy w tęsknoty udręce.
— czyjejs duszy w tęsknoty udręce.

Ściele jabłoni wiosniane kobierce,
w pustce rwie się i łka czyjeś serce,
czyjeś serce tam kona boleśnie
za młodością,— że nigdy nie wskrześnie,
— za młodością, że nigdy nie wskrześnie.

Chłodno kwiaty strącają jabłonie
na splecione kurczowo dwie dłonie
tej, co goniąc mirażę wiosenne,
zatraciła swe życie wiosenne,—
— zatraciła swe życie wiosene.

Zakopane 30-XI. 1906 r.

By wciągnąć się w odpowiadający jej stanowi zdrowia „régime sanatoryjny”, stosując się do rady lekarzy, spędza Rogoszówna następną zimę 1908r. w sanatorjum d-ra Dłuskiego, gdzie zyskuje nowych, oddanych przyjaciół, nie tylko w samym dyrektorze i w jego asystentach, ale i pośród współtowarzyszy i współtowarzystek niedoli.

Pełna humoru i pogody, z tą niezwykłą zdolnością panowania nad sobą i utajenia przed ludźmi własnego cierpienia, wydaje przy współudziale innych chorych „Jednodniówkę sanatoryjną”, której lwią część pisze sama, a która w anallach życia sanatoryjnego stanowi jedną z kart najdowcipniejszych i najpogodniejszych. Pewna pacjentka pisze do niej w tym czasie: „Podziwiam Was, że Wam tak dobrze na świecie, tak wszędzie dobrze”.—Tak złudne bywają pozory—i tyle może wola.

Lato 1908 r. zagnało Rogoszównę aż do Bretanii na wyspę Oléron. Zaprzyjaźniła się tu z Bronisławą Ostrowską i, myśląc wciąż o brakach literatury dziecięcej, projektuje założyć wspólnie z nią pismo dla dzieci p. t. „Światowid”. Zbyt forsowne używanie spacerów nad morzem i łódką wywołuje gwałtowne pogorszenie, grożące już wprost życiu. Bawiąca naówczas w Paryżu siostra Rogoszówny, przyjeżdża do Oléron i troskliwie ją pielęgnuje. Na żądanie lekarzy przewożą chorą na południe Francji, do Arcachon.

Z pogorszeniem zdrowia, pogarsza się jej stan psychiczny, potęguje się żal zmarnowanego życia. Wspominając obyczaj perski, który nakazuje mierzyć życie ludzkie liczbą chwil szczęśliwych, tak, że na grobie 80-letniego starca wypisane jest „żył rok i 4 miesiące”—tyle tylko ile zaznał szczęścia,—Rogoszówna pisze: „Mnie nie powinnyby policzyć dni szczęścia,

SPROSTOWANIE

W złożeniu drukarskiem utworu Rogoszówny p. t. „*Wierzba nad urwiskiem*” zaszła przykra pomyłka. Na stronę tytułową przed dwuwierszem: „*W gaj wpatrzona, stara matka siwa*” należy przenieść z II-ej szpalty na stronie 314 ustęp złożony z 42 wierszy poczynawszy od słów „*Lat tęsknoty udręka straszliwa*”, a kończąc na dwuwierszu

„*szept gałązki co wdzięcznie się zgina,
gdy swej matce śle pokłon wierzbina*”.

ale dni najsilniejszego napięcia ducha w cierpieniu”.

Mimo choroby i przygnębienia przerabia „Jędrusia” i piszę „Haluśkę”. „Nikt nie przypuści, czytając ją, ile wysiłku myślowego mię kosztowało ujęcie tej małej duszyczki i stworzenie z niej czegoś więcej, niż nakręconej kluczykiem autora leleczki. Do „Haluśki” napisałam aż 60 szkiców”. Wyrobienie poczucia artystycznego i metody pracy dokonało się w pewnym stopniu pod wpływem obcowania bliskiego z wyrobioną już wówczas artystycznie Bronisławą Ostrowską.

Jednakże i z nią przyszło się pożegnać. Na lato 1909 r. wysyłają Rogoszównę z Arcachon do Bagnères - de Bigorre. Tu znów w samotności ogarnia ją tęsknota i ma na pocieszenie jedyne stworzenie, które stale towarzyszyło jej we Francji, małego czarnego szpica „Tintinsię”. „Dawniej mówiłam — „na psa urok” — odkąd mam Tintinsię boję się wypowiedzieć te słowa”. W kilka jednak tygodni pisze: „Krzywa moja dola zabrała mi nawet psiątko miłe”.

W tym czasie „Kurjer Lwowski” rozpoczyna druk „Haluśki”. Daje to jasne chwile autorce — które ujmuje z charakterystycznej dla niej strony: „Ludzie czytając ją, będą mieli chwilę dobrą. To wszystko czego pragnę”. A w rozpaczliwych nastrojach wzmożonej choroby: „Ta myśl, że jeszcze w życiu mogę być Wam pomocną, zatrzymała mnie”.

We wrześniu 1909 r. wraca Rogoszówna do Arcachon. Już drugą zimę spędza wśród chorych na obczyźnie. Zdrowie się poprawia zwolna, — wraca do tego stanu, w jakim wyjechała przed rokiem z Zakopanego. Błędne koło, — lecz chora w miarę lepszego samopoczucia staje się i wewnątrz pogodniejszą. Bezbrzeżny smutek rezygnacji wieje jednak z tej pogody. „Skreśliwszy wszystko, czego kiedykolwiek pragnęłam, witam każdy promień słońca, każde słowo życzliwe, jako rzeczy niezasłużone i nieoczekiwane i lepiej mi z tem. I wierzę, że wrócę jeszcze kiedyś zdrowa. Tylko, że pokuta taka bardzo długa”.

Smutek ten organiczny, uzasadniony tragicznem zmaganiem się woli do pełnego życia z przemożną niemocą fizyczną drga w skardze „wstyd przed chorobą, wstyd przed niemocą, wstyd przed tem, żem ciąglą troską”. Ukrywa ten smutek i ten wstyd przed ludźmi, panuje nad nim, a dźwignią jej jest wrodzona dobroć i myśl o innych.

³⁾ ZOFJA ROGOSZÓWNA

UR. 1882 † 1921 R.

Żyjąc pośród chorych i słabszych moralnie od siebie, krzepi się poczuciem obowiązku roztaczania wokoło promienie własnego serca: „Wszyscy ludzie dokoła tak są sobą zgnębieni, że obowiązkiem jest panować na tyle, aby swoją osobą nie dodawać im smutku”. Ale to życie wśród obcych i chorych wystarczyć jej nie może. Tęskni wciąż do normalnego życia, szarpie się w samotności, w bezdomnej tułaczce po obcych kątach,—ona, która była stworzona, by mieć dom własny, ognisko rodzinne i najdroższych ukochanych wokoło siebie, by dzielić z nimi każde drgnienie serca. „Skutkiem choroby jestem poza nawiasem życia: każda godzina spaceru, którą odbywam zawsze sama, pozostawia mi wrażenie smutku i pustki, każdy list pisany przeze mnie, czy otrzymany od bliskich pogłębia jeszcze to uczucie”.

Przelotne chwile pogody i mocy wewnętrznej, nie znajdując wyrazu w czynie twórczym, wzmagają chroniczne przygnębienia.

„Przeżywam bardzo piękne chwile natchnienia, które jednak wyrazu nie znalazło jeszcze ani w życiu, ani w pracy mojej. Gdy gasną—jeszcze mniejszym się człowiek w sobie samym zdaje”. Wreszcie na wiosnę 1910 r. przychodzi wybawienie; leka-

rze pozwalają na powrót do kraju — z zastrzeżeniem, że okres zimowy chora znów spędzi w Arcachon. Rogoszówna zatrzymuje się dni kilka w Paryżu, poznaje go zaledwie „à vol d'oiseau” i wreszcie staje w Krakowie — w domu.

Rodzina zachwycona jej widokiem, cieszy się jej zdrowym wyglądem, jej kwitnącą rozpromienioną urodą. „To odczucie, że się jest w domu — u siebie natchnęło mnie tą radością wewnętrzną, której bardzo długo nie zaznałam. Zapewne powrót pewnej „młodzieńczości” zawdzięczam tej radości i pogodzie rzeczy ostatnich, napływowi sił i energii”.

Istotnie rozjaśnił się chwilowo horyzont wrogiego losu.

Po długiej wędrówce od wydawcy do wydawcy rękopisy autorki jeszcze bez nazwiska znalazły nakoniec nakład. Ruchliwa i śmiała spółka krakowska „Książka” podejmuje się wydać „Pisklęta”. Za pieniądze stąd otrzymane, wydaje Rogoszówna własnym nakładem „Dziecinny Dwór”, a wkrótce potem księgarnia Połanieckiego przyjmuje „Opowieść o gdakaczu, gdakuli i gdakuleńce”. Odrazu zatem na gwiazdkę dziatwa nasza obdarzona zostanie trzema pracami. I to oddanie twórczości własnej tym, dla których była przeznaczona, napełnia poczuciem siły duszę Rogoszówny, pozwala jej na chwilę za-

pomnieć o zmarnowanych latach życia. Jednocześnie i stosunki rodzinne przynoszą jej dobrą, kojącą radość.

Po spędzeniu kilku tygodni w Rabce, wyjeżdża na wieś, do Strzyżyc przy Dobrej z ukochaną matką z młodszą siostrą i szwagrem. Wkrótce przyjeżdża starsza i najmłodsza siostra. Rogoszówna oddycha swobodą swojej wsi, patrzy w uśmiechniętą, rozradowaną zjazdem dzieci, rozsypanych dotąd po świecie, twarz najlepszej matki, cieszy się jasnym szczęściem dobranej pary oblubieńców. „Takiego lata, takich wakacyj nie miałam od wielu, wielu lat, chyba od lat dzieciństwa”. Ta głęboka radość, jak wielkie głębokie uczucie, nabiera zabarwienia religijnego. „Odczuwam Wole Opatrzności, która tak dziwnie mną rządzi i kieruje od lat kilku. Od wyjazdu z kraju czuję to „coś, co się dzieje poza mną i co mnie wiezie, dokąd? przyszłość pokaże”.

We wrześniu wraca do Krakowa i dobry stan zdrowia, podtrzymany łagodną jesienią i pogodą najbliższych, pozwala jej pozostać w domu do 11-go listopada. Tego dnia wyrusza w powrotną drogę do Arcachon w imię zdrowia, które pragnie za wszelką cenę odzyskać.

Zaledwie jednak zdążyła się oswoić ponownie z sanatoryjnym trybem życia, odwraca się szczęśliwa karta losu. W 10 dni po jej wyjeździe pada na rodzinę Rogoszów i jej przyjaciół druzgoczący cios. 21-go listopada umiera po urodzeniu syna śliczna, dobra, rozumna i szczęśliwa Jadwiga Fuchsowa—najdroższa i najbliższa siostra Zofji,—w której szczęściu tak rozkwitała sama w Strzyżycach. Zgrozą przejął wszystkich ten cios. Jak go przeżyje, jak go zniesie ta oddalona i falą wspomnień radosnych objęta chora. Jak zawsze dzielna i gotowa na wszystko dla dzieci Matka Rogoszowa nie upada pod ciosem i, by ratować tę drugą małą najdroższą, puszcza się w daleką podróż. Jak się tam te kobiety przywitały, jak się to odbyło — nie wiem. Po parotygodniowym pobycie dn. 21-go grudnia 1910 r. Matka Rogoszowa opuszcza Arcachon, nie mogąc ze względów materialnych przedłużyć pobytu we Francji. I to biedne, osieroczone, rozbolełe serce Rogoszówny rzuca wówczas okrzyk: „Nie bój się o mnie, nie bój, ja Was bardzo kocham”.

Kochać umiała. Ale coś załamało się w sercu. Mówiąc o nowych ludziach, którzy jak wszędzie i zawsze, tak i teraz garną się do niej, pisze z Arcachon: „Ja już nie umiem przywiązywać się do nowych ludzi i przy-

kro mi, gdy biorę za uczucie to, co jest zwykłą życzliwością ludzką”.

Przetrwała tak w bólu do wiosny 1911 r. W kwietniu powraca do Krakowa i zamieszkuje tam z Matką i ukochanym owdowiałym szwagrem. Dla nich chce żyć, ale sama jest tak rozbita, że ledwie się życie kołacze w umęczonej duszy. „Wszystko się porwało na liche, marne strzępy; ni utkać już z nich nic jasnego, świetlanego”—pisze w maju. A we wrześniu: „staje na zupełnem rozdrożu; niema we mnie nic oprócz przeżywania życia z dnia na dzień, w jakimś odrętwieniu wszystkich władz myślowych i uczuciowych”. Imię Rogoszówny dzięki „Piskletom”, które wstępny bojem zdobyły uznanie krytyki i czytelników, imię to, stając się głośnie, przestaje do niej należeć. I oto ona, która przed paru laty daremnie kołatała do redakcyj i firm wydawniczych, zostaje zarzucona zgłoszeniami o współpracownictwo i nowe prace. Nie może jednak jeszcze pisać własnych oryginalnych rzeczy.

Wysłana do Zakopanego w lutym 1912 r. przemaga się na tyle, że pisze według Thackerava „Bajkę o pierścieniu i róży”. Ale pisanie idzie opornie. W maju wyjeżdża z Matką i szwagrem na wieś, do Jaszczurowa. Na usilne naleganie le-

karzy przemaga się i decyduje na nową rozrywkę. Wyjeżdża do Portorose w Istrii, ale już po 2-ch tygodniach powraca do kraju. „Ogarnął mnie stan tak okropnego niepokoju, że po przemęczeniu dwutygodniowym — wracam”.

Jesień i zimę 1912 r. spędza w Krakowie i opracowuje „Wesoły luddek” dla dzieci od 5 — 6 lat. Budzi się w niej twórczość, ale warunki ma ciężkie. „Pomysłów mam moc i to najróżniejszych. Niestety jednak bardzo mi ciężko cokolwiek napisać. I zdrowie i krętanina domowa i niemożność pisania inaczej, jak „jednym tchem” t. j. dniem i nocą, jeśli jestem w dobrym usposobieniu”.

A oto, jak określa źródło tego niespożytego humoru, który bije z jej utworów: „Każdy (z ludzi poznanych) ma jakieś spaczenie, wykrzywienie, które chyba w Polsce jest najczęstszym objawem. Nie umiem inaczej określić tego, jak tem, że każdy jest na inny sposób wykoszlawiony duchowo,—stąd to rozgoryczenie. A że natura moja nie znosi takiej atmosfery, więc zapewne przez kontrast w utworach, o których myślę, jest zawsze dużo światła i swobodnego dziecięcego śmiechu”.

4)

ZOFJA ROGOSZÓWNA

UR. 1882 † 1921 R.

Latem 1913 r. wzbiera w niej tęsknota do dawnych przyjaciół. Czuje się na tyle silną, że ryzykuje podróż i w listopadzie przyjeżdża na parę tygodni do Warszawy. Jakby przeczuwała, że wkrótce już uczynić tego nie będzie można. Cudna jesień przyjmuje ją gościnnie i bez szwanku na zdrowiu powraca odświeżona do Krakowa. W 1914 r. następuje długotrwała przerwa w kontakcie osobistym z Warszawą, spowodowana nawałnicą dziejową.

Dopiero w 1917 r. nawiązują się porwane stosunki między dzielnicami.

Rogoszówna, pobudzona zmianą stosunków politycznych, myśli o akcji literackiej na szeroką skalę. Powraca do projektu założenia pisma dla dzieci, przede wszystkim dla wsi: „Lud, dzieci wiejskie coraz więcej garną się do czytelnictwa, ale literatury niema dla nich zupełnie”. Wszakże brak środków materialnych i sił fizycznych, związanych z organizacją takiego przedsięwzięcia, nie pozwalają jej urzeczywistnić tej myśli.

W tymże 1917 r. wychodzi zbiór wierszy dla dzieci i młodzieży p. t. „W Słoneczku” napisany przy współudziale siostry Józefy Rogosz - Pieńkowskiej podczas pobytu letniego w Nowym Targu. „Pracuję. Po latach zupełnego zastoju przyszedł lepszy okres. Musiałam przerzucić się z prozy do poezji. Byłam pewna, że nigdy jednego wiersza skreślić nie potrafię, a teraz wszystkie pomysły, jakie mam, tylko w formie wierszowanej ująć mogę. Piszę bardzo zabawną fantastyczno-komiczną powiastkę p. t.

„Dzieci Pana Majstra” wierszem. Książkę tą, ostatecznie wykończoną latem 1920 r. autorka lubiła najwięcej ze wszystkich swoich utworów: „Żadna książka tyle mi szczęścia nie dała, co te łobuziaki moje miłe” mówiła do siostry, — „a Butkę, to tak kocham, jakby to była moja córeczka”.

Myśl Rogoszówny wciąż powraca do literatury ludowej. Zagląda do skarbnicy podań i gadek i czerpie z niej pomysły do nowych utworów. Już w 1916 r. za czasów dykcji Lucjana Rydla wystawiła w teatrze miejskim sztukę dla dzieci p.t. „Zemsta Kasznura”. Obecnie po powrocie z wywczasów letnich w Nowym-Targu, zajmuje się wystawieniem w teatrze ludowym w Krakowie „Darów Czarnej Wróżki”: „wystawili marnie, trudno marniej, tak, że zgryzoły było więcej niż zadowolenia. Mimo to sztuka podobiała się bardzo. Jak mnie zapewnił Grzymała-Siedlecki odniosła pełny sukces”. I skarży się dalej „pracowałam nad nią pół roku, — dostanę 400 koron”.

Jednocześnie przygotowuje zbiorrek gadek staropolskich ludowych dla malutkich dzieci, które wydaje Osso-

lineum p. t. „Srocza Kaszkę Warzyła”.

W 1918 i 19 roku układa również dla najmłodszych z podań ludowych 2 zbiorki niedrukowane dotąd p. t. „Klituś Bajduś” i „Koszałki—Opałki”, które mają ukazać się w roku bieżącym w wydawnictwach gwiazdkowych Arcta, — oraz „Kolorowe Bajeczki” wydane na gwiazdkę przez Mortkowicza w 1920 r. W tym czasie opracowuje także nie wydaną dotąd „Uczę Zwierrząt” i śliczną książeczkę, pozostałą w rękopisie „Dzieje Młodego Sambo”. Zapoczątkowany latem 1917 r. kończy zimą 1918 r. w Zakopanem jedyny dłuższy poemat liryczny niedrukowany dotąd p. t. „Wierzba z Urwiska”. Powiada o nim „to jest pierwsza, a może i ostatnia rzecz moja osobista”. Dedykuje ją d. 14 kwietnia 1918 r. bliskiemu przyjacielowi i lekarzowi, którego zna od pobytu w sanatorium d-ra Dłuskiego z 1907 r. d-rowi Januszkowskiemu.

Niestety z powracającą falą twórczości—gromadzą się znów ciężkie chmury smutku na horyzoncie rodzinnego życia Rogoszówny. „Matka coraz słabsza, coraz mniej ma sił i wytrzymałości nerwowej, a niemożność należytego odżywiania się w czasie wojny wyczerpują Ją coraz bardziej”.

Myśląc zawsze o innych, Rogoszówna nie wspomina nic o sobie. A wszak i na jej zdrowie wojna oddziaływała fatalnie: uniemożliwiała z jednej strony spędzanie choć kilku miesięcy na rok w pomyślnych warunkach klimatycznych,—z drugiej strony pogorszyła warunki materialne codziennego życia. Kochając Matkę tak, jak serce jej kochać umiało,—rozumiała, że ta matka, która zniosła już tyle ciosów i klęsk, przeżyć jej nie powinna. Podziw i cześć wzbudzał hart duszy tej kruchej fizycznie, a tak ciężko doświadczonej już przeżytemi stratami najbliższych kobiety, gdy najwyższą ofiarę składając, z głębi rozbolełego serca, powiedziała kiedyś: „Jednego już tylko pragnę od losu, żeby oszczędził matkę i żeby Matka umarła przede mną”. Kochała Matkę więcej niż siebie—o Matce myślała—nie o sobie.

I temu jednemu życzeniu los uczynił zadość. Zachwiane zdrowie p. Rogoszowej nie miało już powrócić. Bezmiernie kochającej córce przypadła w udziale szarpiąca, ciężka, choć słodka, lecz ostatecznie podkopująca siły fizyczne i nerwowe dola—podtrzymywać najdroższe, a gasnące zwolna życie najdroższej istoty.

W chwili wybuchu wojny z Rosją w sierpniu 1920 r. Zofja Rogoszówna spędza drugie z rzędu lato w Poroninie z Matką i całą rodziną. Pani

Rogoszowa była już wówczas tylko cieniem dawnej, pełnej energii i zdrowia, dzielnej i odpornej „Matusi”. Już wówczas nie ona dzieciom, lecz dzieci służyć jej musiały, i krzepić i łudzić, że nie jest tak źle, jak mówiło odbicie wynędzniałej, schorwanej postaci w zwierciadle.

I tak fatalnie warunki rodzinne się składały, że nie zdrowa o chorą, lecz chora o chorą troszczyć się musiała. „Niestety, lato obecne pomimo trwałej choroby i „sutej” aprowizacji nie da mi, zdaje się, tyle sił, ileby mieć należało „na zapas” do Krakowa” pisze Rogoszówna 19 sierpnia 1920 r. „Matusię zaczął ząb boleć, trzeba było jechać go wyjąć. Wszystko się udało bardzo pomyślnie, mimo to ja nazajutrz miałam 38° gorączki. Trwało to tylko jeden dzień, ale zaniepokoiło mnie, jako objaw bardzo niepożądany u pielęgniarce, która powinna nie tylko nadrabiać miłą, ale mieć jakie takie zdrowie, bo od niego zależy spokój i zdrowie Matki. Takby trzeba mieć tego zdrowia dużo, dużo, żeby móc pracować, tak jak ja pracę rozumiem”.

W tej samej chwili rozgrywały się losy narodu. „A oni się tam biją, a łuny krwawią się dokoła Warszawy i serce łopocze z niepokoju. W tej ciszy jaka tu panuje, oczekiwanie staje się nieznośną męką”.

W Warszawie przeżywaliśmy już wówczas „Cud Wisły”. Bezpośredniej radości tego wstrząsu ocalenia, tu na miejscu i z nami, Rogoszównie nie danem było przeżyć. Jednak odtąd wzbiera w niej wzmożona tęsknota do Warszawy i przyjaciół. Chociaż na chwilę pragnie odetchnąć jej atmosferą, — i gdy w październiku następuje pewne polepszenie w stanie zdrowia Matki, przybywa do stolicy w d. 1 listopada.

Mimo wyjątkowo pogodnej jesieni czuje się osłabioną i bardzo silnie kaszle.

Po kilka godzin dziennie przebywa z najbliższymi przyjaciółmi i odbywa konferencje z wydawcami, — poza tem większość czasu spędza w łóżku. Mimo to jest pogodna i zasępia się na myśl, że „Matusia” tam w Krakowie bez niej. Zapytana, którą z książek swoich najlepiej lubi, bez wahania odpowiedziała „Dzieci p. Majstra” i „Zemstę Kasznura”, bo te książki umieją zawsze rozweselić Mamusię, gdy jest najsmutniejsza”. Po dwutygodniowym pobycie powraca do domu „sleepingem”. „Spałam dobrze, wagon był opalony, Matuśkę zastałam już niestety bardzo zdenerwowaną, bo spodziewała się mnie ze wszystkich pociągów sobotnich; całą noc nie spała i dziś głowy dźwignąć nie może. Trzeba to będzie odrabiać długo”.

Nie danem jej było to odrobić. W tydzień po powrocie z Warszawy zapadła na ciężką gripę, która tak pogorszyła sprawę płucną, że wysoka gorączka nie opuściła jej już, aż dopiero na parę dni przed śmiercią.

D. 21 grudnia 1920 r. pisze. „Gorączkuję wysoko i pomimo, że nie wstaję nawet na kwandans, temperaturą nie chce się obniżyć. Bóg wie, jak to długo trwać będzie. Naturalnie odbija się to i na zdrowiu Matusi, bo nie mogę nad Nią czuwać, jak należy, zmuszać Jej do jedzenia, zastrzykiwać arszenik i t. p. Przytem choroba moja przygnębia Ją i robi się z tego błędne koło, z którego niewiadomo jak wybrnąć. I Ona gorzej znowu”. Mimo tego stanu zdrowia i niepokoju o Matkę, Rogoszówna pracuje jeszcze. „Przygotowuję dla p. Gustawa Wolffa „Piosenki Dziecięce”. Mam ich 30 — prześlicznych. Tekst ich częściowo mój, częściowo staropolski czy ludowy, tylko odpowiednio „spreparowany”. Chciałabym, żeby to naprawdę była piękna ksjażka”.

Marzeniem jej było, aby ta praca ukazała się w artystycznym wydawnictwie, — na wzór angielskich klejnocików, ilustrowanych przez Rackhama. Taką ucztę artystyczną chciała wyprawić dziatwie naszej Rogoszówna w ostatnich myślach, czepiając się tego świetlistego celu życia swego. Powraca też wtedy jeszcze do dawno pieszczonego w duszy zamiaru założenia pisma dla dzieci. Miało nosić

nazwę „Jaskółki”. Zapytana przez siostrę, dlaczego tak pismo chce nazwać,—powiada: „Widzisz, jaskółki gnieźdzą się pod dachem i strzechą, wszędzie, wszędzie w całej Polsce i przynoszą wieść wiosny. Otóż chciałabym, żeby moje pismo dzieciom miłość i ciepło serca mego głosiło”. Wiosna 1921 r. była wczesna i piękna. W końcu lutego szwagier przewozi chorą z Krakowa do Szczawnicy, do pensjonatu p. Szubertowej. Ciężkie było rozstanie dwóch śmiertelnie chorych kobiet, — tym razem już ostatnie.

D. 15-go kwietnia Józefa z Wilczyńskich Rogoszowa, wdowa po ś. p. Józefie Rogoszu powieściopisarzu i publicyście, opatrzona św. Sakramentami umiera w Krakowie. Spełnia się życzenie córki — Matka nie przeżyła jej.



Wszakże rodzina utrzymuje ją w złudzeniu, że zdrowie Matki się poprawia. Rogoszówna cieszy się tą wieścią i cieszy się ostatnią cudną wiosną swoją. Na kilka dni przed śmiercią następuje nagły spadek temperatury ciała i euforyczne pobudzenie życia. Chora staje po raz pierwszy i o własnych siłach chodzi w słońcu, po ogrodzie, otaczającym pensjonat. Po powrocie do swego pokoju pisze do siostry kartę pełną radości i wiary w wyzdrowienie. Nazajutrz d. 10-go maja, czesząc się rano, słabnie nagle. Śmiertelnie zmęczone serce bić przestaje naraz i na zawsze. Odeszła lekko i pogodnie, po ciężkich smutkach i cierpieniach swoich, przeżywszy matkę o niecały miesiąc.

Pochowana została w Krakowie.

Zostawiła po sobie trwałą ślad w literaturze dziecięcej. W duszach najbliższych—tak rzewne i świetlane piękno, że mimo przejmującego smutku jej życia i dotkliwego żalu, że jej już niema między nami,—miłość promiennej jej duszy podnosi i krzepi tych, którzy z nią szli,—a pozostali,—żyjąc tem, co ich z nią najistotniej związało: kultem potęgi i piękna człowieczego ducha,—twórczą mocą miłości i pracy,—a przedewszystkiem dziećmi i dla dzieci, — które ona — bezpośrednio, kobiecą intuicją najgłębiej odczuwała i rozumiała i którym oddała słoneczne, przytulne i wierne serce, oraz pracę życia.

I. M